Nr. 33. We Lwowie dnia 19. sierpnia 1900. Rok 8.



Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z ziemi męczeństwa.

(Z powodu bezczelnego jubileuszu i dawno wydanej książki).



Przerażający aż swoim cynizmem i bezczelnością, 25-letni jubileusz gwałtu popełnionego na unitach, spotkał się ze strony polskiej i unickoruskiej z głośnym protestem. Protest ten jednak przeminął bez echa, a tymczasem niesłychany gwałt, na sumieniach ludzkich popełniony, jest faktem dokonanym.

Dziś gdy czynownicy rosyjscy i popi prawosławni tryumfują z powodu jubileuszu „nawrócenia“ tysięcy unitów na prawosławje, godzi się przypomnieć jeden z ostatnich może wybuchów płaczu męczenników.

Było to w roku 1895, kiedy z powodu wstąpienia na tron młodego cara Mikołaja i wydanego z powodu zaślubin jego edyktu amnestyjnego, ożywiły się nadzieje wszystkich męczonych i prześladowanych, że może lepsze i wolniejsze czasy nastaną. Wówczas także i unici na Podlasiu ruszyli się, poczęli pisać prośby, okrywać je setkami lub dziesiątkami podpisów i zanosić przez osobnych deputatów do stóp tronu carskiego, w sposób jak najbardziej uniżony i wiernopoddańczy.

Prośby te jednak, nietylko że żadnego skutku nie odniosły, ale naraziły nadto niektórych deputatów na nowe prześladowania i dręczenia. Nikt ich nie usłuchał, a wynikiem całej akcji było tylko to, że w dwa lata później t. j. w r. 1896 wszystkie te prośby zebrano razem i wydano w trzech językach t. j. rosyjskim, francuskim i polskim. Książka ta nosząca tytuł: „U stóp najjaśniejszego cesarza Wszechrosji. — Najpokorniejsze prośby katolików obrządku greckiego i łacińskiego o pozostawienie ich przy wierze rzymsko-katolickiej“ jest dzisiaj dość rzadką, gdyż ugodowcy, zdaje się ze względów „politycznych“, nieznaczną tylko ilość egzemplarzy kazali wydrukować.

Próśb takich weszło do tronu carskiego dziesięć, a złożyli się na nie włościanie, przedewszystkiem z gubernji siedleckiej z 28 wsi, a dalej unici podlascy w gubernji chersońskiej i orenburskiej na wygnaniu zostający. Wszystkie one pisane są prawie jednakowo, stylem koszlawym i nieortograficznym, a odznaczają się nadzwyczajną pokorą i silnem na każdym kroku akcentowaniem uczuć wiernopoddańczych. Pomimo tej jednakowoż lojalności uczuć się daje wszędzie prawdziwie włościański upór i dziwna jakaś stanowczość w domaganiu się, aby ich zostawiono przy wierze przodków, gdyż jak pisze stu dziewiętnastu gospodarzy z miasta Sokołowa, „pragniemy pomrzeć w naszych religijnych wierzeniach i my najpoddaniejsi nie zgodziliśmy się przyjąć wiary prawosławnej“.

Czytając pokorne błagania nie można się oprzeć uczuciu grozy na wspomnienie tych wszystkich katuszy, na które unici podlascy przez lat 25 byli narażeni.

Oto co naprzykład piszą włościanie parafji Staromiejskiej, wsi Krzewicy, powiatu Radzyńskiego:

„Pradziadowie nasi, dziadowie i my do roku 1874 wypełnialiśmy duchowne obrzędy religijne według rzymsko-katolickiej ustawy, wskutek tego od r. 1875 zwierzchność jednoczy nas z prawosławną cerkwią. A ponieważ ustawy, w której urodziliśmy się, a która nie była przeciwna innym wyznaniom chrześcijańskim, nie chcieliśmy przemienić, to z tej okoliczności niektórych z nas karali knutami po gołem ciele od 25 do 100 razów przy 15 i więcej stopniach mrozu. Czyniono i inne różnego rodzaju udręczenia, lecz teraz odbierają nam wszystkie świętości, które do najniemożliwszego, najżałośniejszego i najsmutniejszego położenia prowadzą“.

Albo następujący łzawy ustęp petycji włościan wsi Prosnów i innych pow. Konstantynowskiego, Gub. Siedleckiej.

„Pradziadowie i dziadowie nasi i my do roku 1874 wyznawaliśmy wiarę rzymsko-unicką, lecz w roku 1874, w miesiącu marcu zabrali nam kapłana rzymsko-unickiego, a przysłali prawosławnego i przedstawili nam, żebyśmy przyjęli wiarę prawosławną. Lecz nie zgodziliśmy się na to, nie przyjęli i dotąd nie przyjmujemy. Za to surowo nas karali karami cielesnemi, po sto i więcej nahajek kozackich po gołem ciele i sztrafowali po 100 i więcej rubli kary pieniężnej, męczyli aresztami, wysyłali do dalekich gubernij rosyjskich, i dotychczas to samo; tylko że kar cielesnych nie robią“.

Inne petycje znowu wspominają o strasznem życiu bez pociech religijnych:

„Żyjemy bez spowiedzi, małżeństwa zawierają się potajemnie za granicą, pogrzeby bez poświęcenia i my do tego czasu żyjemy, jakby jacy poganie nie w prawie zmieniać swoje religijne przekonania, a chcemy zostać wierną trzodą swego kościoła grecko-katolickiego“.

Nie braknie także z tych czasów prośby unitów z Podlasia do papieża Leona XIII. datowanej 25. marca 1895. W prośbie tej piszą unici, że nawet od duchowieństwa łacińskiego nie mogą uzyskać pociechy, gdyż „rząd rosyjski karze więzieniem i wygnaniem kapłanów łacińskich, którzy o duszach naszych mają pieczę. Nie możemy nawet słowa Bożego słuchać, bo kościołów łacińskich pilnują policjanci, żeby nas nie wpuszczać. Jeżeli kiedy komu z nas uda się omylić czujność tych stróżów, sami parafjanie łacińscy patrzą na nas w kościele, jak na zwierzęta, które czemprędzej wypędzić trzeba — obawiają się bowiem, że rząd rosyjski skasuje kościół łaciński za to, że unici doń uczęszczają, jak to nieraz rzeczywiście czynił“.

Proszą więc unici, aby papież poparł ich petycję u cara.

Wszystkie te jednak jęki pozostały bez echa, unitom nikt nie pomógł, a urzędowa Rosja obchodzi dwudziestopięciolecie ich „nawrócenia“.



ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

(7) Obraz historyczny.

—※—

IV.

Stał w olbrzymim kapeluszu na miedzy, obok głogu o kwaśnych, miejscami już czarniejszych jagodach. Powietrze — pomimo słońca — miało już w sobie chłód późnej jesieni, a wiatr ciepła nie dodawał, Maciej Przybek nie ściągał jednak białego żupana, nie zapinał kamizelki. Szeroka jego pierś mogła się kąpać bezkarnie w wichrach mroźniejszych, niż ów, co leciał teraz zboczem od strony lasu.

Twarz Przybka, zorana bruzdami, chmurna, ale spokojna, zwracała się w stronę Koziny. Patrzał z wielkiem natężeniem, zacinając wargi tak silnie, aż głęboka rysa oddzieliła dolną od energicznie zarysowanego podbródka.

I okazale rysowała się na tle jesiennej pogody poważna i jako posąg nieruchomy postać starego górala, co był ostatnim chorążym Chodów. Maciej nie wykonał najlżejszego ruchu i wówczas, gdy zwrócił się do nadchodzącego Koziny ze słowami:

— I kędyś to się włóczy, gdy ci słupy graniczne obelują?

Mówił spokojnie, ale na Kozinę słowa jego wywarły ogromne wrażenie.

— Mnie? — Kaz?

— Hań — za roztoką.

— W to?

— Panowie...

Kozina drgnął, ale jakby nie wierząc jeszcze, pytające spojrzenie utkwił w twarzy starego Choda, który mówił dalej:

— Ha, psie weredy! — zaklął Iskra.

Ale przyjaciel jego nie pytał już o nic, jeno puścił się jak strzała w stronę wymienionego pola. Grajek pospieszył w ślad za nim. Biegli, jak gdyby się paliło we wsi.

Maciej Przybek powiódł za nimi spojrzeniem, szepcząc do siebie:

— Zbaczaj se Jaśku, cobyś się nie oparzył na tem mleku...

U stóp wyniosłości, zajętej przez wieś Ujazd, nieopodal Terhanowa, rosła na kraju zoranego pola odwieczna lipa. Obnażona jej korona drżała dziwnym jakimś poszumem, niby od westchnień bolesnych. Ostatnie to już głosy... Zębata piła wgryza się z przeraźliwym zgrzytem wciąż głębiej i głę-

biej w ciało olbrzyma, a drogę jej utorowały już wpierw głębokie zacięcia siekiery.

Pod lipą stoi rządca terhanowski wraz z dwoma hajdukami o szerokich barach i pilnie nadzoruje robotę pachołków, którzy klęcząc, z zaczerwienionemi od wysiłku twarzami, piłują, jak mogą najszybciej, podczas gdy trzeci ich towarzysz, uwiązawszy linę u górnych, potężnych konarów drzewa. spuszcza się właśnie na dół.

Naprzeciw, w sąsiednim Terhanowie, ludzie wychodzą przed dom i patrzą z pełnem oburzenia podziwem na to, co się dzieje z lipą Kozinów. Wszak to nowy gwałt ze strony panów! Któż inny ośmielił by się targnąć na drzewo tak stare, gdyby nawet nie było uświęcone tem, że dzieli dwie posiadłości, że jest od wieków uznanym słupem granicznym.[1])

Jeno ci z zamku nie zwracają na to uwagi, nie szanują na drzewie krzyża, co głosi: „Nie będziesz kradł! Nie będziesz, pożądał cokolwiek jest własnością bliźniego twego!“

Teraz jednak gromadka pod drzewem zmieszała się nagle, a rządca ściągnął brwi. Piła umilkła; wszystkie spojrzenia pobiegły w stronę, skąd ozwało się gromkie wołanie.

Jako wiater burzliwy, leciał ku nim Kozina, a za nim Iskra Rzehurzek.

Bez tchu, zarumieniony od szybkiego biegu, młody góral stanął pod drzewem. Przez chwilę panowało głębokie milczenie. Jeno lipa szumiała głucho... Czeladź spoglądała z wahaniem na rządcę, to znowu na Kozinę. Ten ostatni nie mógł wcale mówić ze wzburzenia. Drżał, z oczu sypały się mu błyskawice, aż nagle wybuchnął:

— Kto wam pozwolił?

— Nikt — panowie k a z a l i — odparł rządca, podkreślając ostatni wyraz, zaczem zwrócił się do pachołków z krótkim rozkazem:

— Rżnijcie dalej!

— Ani mi się ważcie! — zagrzmiał Kozina. Wysoka jego postać zdawała się wyrastać, górować nad całem otoczeniem. — Ja haw kazuję! Jam pan. To drzewo moje i rola moja! Posiadał ją wpierw ociec i dziad i pradziad...

— Ale ty posiadać już nie będziesz. Znaleźliśmy w papierach, że to pole należy do zamku.

— Kto by tam wierzył waszym papierom! Toż stało w nich wypisane, że nasze przywileje, przez królów nadane, nie mają nijakiego znaczenia — ha, ha! Wszystkoście nam zagrabili, niewolników poczyniliście z nas, wolnych Chodów, a teraz radzibyście wydrzeć nam i tę rolę, co nas żywi. Ha, złodzieje! nie umiecie nawet uszanować znaku świętego krzyża!

— Milczeć! — wrzasnął rozwścieklony rządca.

— Zapóźno!... Milczał już nie będę... Mamy dokumenta, przywileje! Jakiem-że prawem wy...

— Prawem panów!.. Rozumiesz, chamie! Te twoje przywileje tyle pomogą, że gdyby ci na głowie wyrosło drzewo, a nam się podobało je ściąć, musiałbyś kark trzymać mocno a sztywnie i nie śmiałbyś pisnąć ani słóweczka!

— Ha, będziemy widzieli! — zawołał w uniesieniu Kozina i, uderzając na drwali, wnet jednego od piły odrzucił. A gdy rządca wmieszał się między nich, chcąc temu przeszkodzić, pchnął go tak silnie w pierś, że ten się zachwiał i zaledwie zdołał utrzymać na nogach.

— Precz, pański psie, abym cie nie udławił! — wołał góral z płonącą twarzą, broniąc się pachołkom, którzy na hasło rządcy rzucili się ku niemu. Iskra, widząc co się dzieje, pośpieszył na odsiecz przyjacielowi i pod naciętą lipą wszczęła się gwałtowna utarczka. Obaj Chodowie, jakkolwiek bezbronni, walczyli z zapamiętaniem, drwale nie mogli dać sobie rady, zwłaszcza ze zwinnym i muskularnym Koziną. Walka jednak była zbyt nierówna: dwóch przeciwko sześciu! Iskra padł pierwszy, ale leżąc na ziemi, bronił się jeszcze pachołkowi, który kolanem przygniatał mu pierś. Kozina trzymał się jako tako, ale krew biegła mu już strumieniem po twarzy.

Nagle z góry, od strony Ujazdu, rozległo się do grzmotu podobne wołanie:

— Ostawcie! Dyć haw nie miejsce na mordy!

Olbrzymia postać Macieja Przybka zarysowała się na krawędzi wzgórza.

Spuszczał się teraz uboczą, stąpając, jak zawżdy, szerokim, pewnym krokiem, z ciupagą naprzód pochyloną, jakby do uderzenia przygotowaną. Widząc, że tamci w dole nie słyszą go, albo też słyszeć nie chcą, przyśpieszył kroku, wołając donośnym swoim głosem:

— Nie poddawaj się, Jaśku! Chwila — a będę przy tobie.

Bój pod lipą zawrzał gorętszy. Chodowie dobywali resztki sił. Iskra wymknął się jakoś szczęśliwie swemu przeciwnikowi i grzmocąc pięścią na prawo i lewo, przedzierał się do Jana, wokoło którego kłębiły się ciała ludzkie.

Młody góral już się chwiał, już miał paść, gdy nagle uczuł się wolnym. Głos z góry brzmiał teraz tuż przy nich. Obaj pachołkowie i rządca odskoczyli wnet, gdy Przybka ujrzeli, reszta poszła w ślad za nimi, skoro ciężka ciupaga Choda jęła ich grzmocić po grzbiecie i głowach.

— Ha, pańska czeladko! Nie dość, że kradniesz, radabyś jeszcze ubić okradzionego! — wołał Przybek, zakreślając ciupagą w powietrzu tak nadzwyczajne młyńce, że i rządca i jego czeladź woleli opuścić raczej plac boju, niż narażać się na zabójcze ciosy.

Po chwili spokojnie i cicho było pod lipą. Gdy Maciej Przybek wrócił tam, po „odprowadzeniu“ na kilka stajań rządcy i jego sfory, Iskra, sam zaledwie mogąc ustać na nogach, opatrywał ranę przyjaciela. Jan blady był jak płótno. Stary Przybek zbliżył się i podał mu rękę, mówiąc:

— Daj ci Boże szczęście!

[1]) Za dawnych czasów w ziemi Chodów, jak wszędzie w Czechach, wsadzano drzewa dla oznaczenia granic, a na pniu takich żywych słupów wyrzynano krzyże. Niekiedy praktykowało się wedle potrzeby także obchodzenie granic. (Przyp. Autora).

— Szkoda, żech wcześniej nie przyszedł — mówił Jan, podnosząc spojrzenie na śmiertelnie ugodzoną lipę.

— Nicby to nie pomogło. A teraz pódźmy wartko do domu. Uszło ci nie mało krwie.

— A więc już popłynęła — rzekł Kozina jakby do siebie, ale na głos, patrząc na zbroczoną rękę, którą tamował sączącą się z rany krew. Iskra zrozumiał znaczenie jego słów.....

Odchodząc, Jan obejrzał się raz jeszcze na lipę. Przodkowie odpoczywali w jej cieniu, on sam ze starym dziadkiem, a w lecie z żeńcami lubił tu siadywać... Kilka pokoleń znajdowało ochłodę pod jej konarami, znali ją i lubili wszyscy mieszkańcy okoliczni, nie jedna wiązała się z nią opowieść, a teraz oto zabiła ją pańska pycha!...

U wstępu do wsi Przybek pożegnał towarzyszy i poszedł wprost do domu, a Jan wstąpił do samotnej chałupy grajka, aby zmyć krew z twarzy, rąk i odzienia. Nie chciał widokiem swoim przerazić Hanki. Pomimo to krzyk przerażenia wyrwał się z piersi kobiety, gdy wieczorem wszedł nagle do izby z zawiązką na głowie. Żartami i śmiechem starał się uspokoić kochającą a strwożoną. Wkrótce jednak słowa zastygły mu na ustach. Siadł na łóżku i pochylił głowę. Żona, spiesząc po wodę i bandaże, nie dziwiła się posępnej jego zadumie. Sądziła, że rana go boli. Nie rana jednak, lecz myśli ból mu sprawiały.

— A więc teraz nie o same już prawa, ale o życie chodzi! — powtarzał w duchu. — I niema już innej drogi — niema! Sam Bóg wskazuje mi tę drogę.

Wtem dały się słyszeć drobne, lekkie kroki i Pawełek, wracający od babuni, wbiegł do izby. Za nim pospieszała z wielkim trudem Hanusia. Dzieci, ujrzawszy ojca, z krzykiem przypadły mu do kolan. On je podniósł i tulił gorąco do piersi, całując i pieszcząc.

W ślad za dziećmi ukazała się babka. Wiedziała tyle jeno, że stara lipa Kozinów padła pod siekierą rabusiów. Szła wzburzona do głębi tą wieścią i sposępniała bardziej jeszcze, widząc syna, bawiącego się z dziećmi.

— Starą „lipę na glince“ panowie ci ścięli! — rzekła surowo.

Syn podniósł głowę.

— Hej. Wiem...

Teraz dopiero zauważyła bandaż.

— Głowę masz obwiązaną?...

— To hań u lipy mi ją zacięli.

— Broniłeś jej?...

— Alem nie obronił — skarżył się ze smutnym uśmiechem.

Matka zwróciła nań zdziwione oczy, a potem zapytała o wiele już łagodniejszym tonem:

— Bardzo cię boli?...

Jan odpowiedział przeczącym ruchem głowy.

A w tej chwili odwieczna lipa już nie strzegła jego granicy. Po odejściu Chodów dworska czeladź wróciła i ścięła drzewo, pozostawiając je dla spóźnionej pory na miejscu. Leżało tu na wilgotnej ziemi, niby obalony olbrzym i przez całą noc słychać było jego ciężkie westchnienia i płacz...

D. c. n.

Tłumacz. *M. Wysłouchowa.*



(5) ZE WSPOMNIEŃ DEMOKRATY.

Ciekawy bukiet stanowią rozproszone w korespondencji, pamiętnikach i notatkach Janowskiego zarzuty skierowane przeciw Mickiewiczowi. Podajemy z nich kilka wyjątków na próbę:

„Mickiewicz — powiada Janowski — znieważył (!) w Odzie do młodości wiek stary, wynosząc nad niego wiek młody“.

Nie podoba mu się bardzo Mickiewicza: Miej serce i patrzaj w serce! To nie dość — powiada — samo uczucie serca może prowadzić do błędu, jeżeli nie do czego gorszego. Serce powinno zostawać w zgodzie z rozumem, bo tylko ta ich zgodność stanowi sumienie, wolę i charakter człowieka. Kto zaś nie ma charakteru przestaje być człowiekiem.

„Spory nasze — mówi Janowski — nazwał żyjący zdala od emigracji, Adam Mickiewicz kłótnią o arystokrację i demokrację, której on, jak sam wyznał, nigdy dobrze zrozumieć nie mógł, bo — podług niego — książę, hrabia, chłop i żyd równie są nam potrzebni. Jeżeli zaś Adam Mickiewicz tę tak nazwaną przez siebie kłótnię o arystokrację i demokrację uważał za skutek niechęci osobistych i nie rozumiał śmiałych nowatorów (demokracji) łatwo pojąć jak im oporniejszą musiała być początkowo niezmierna większość rzeszy emigracyjnej.

Z powodu przystąpienia Mickiewicza do sekty Towiańskiego sądzi surowo poetę. Szydzi ze zwolenników nowej nauki jak np. Seweryna Pilchowskiego, który takim szałem zapalił się do proroka, że mu się zapisał w poddaństwo. Akt owego osobliwego poddania się był formalnie spisany i ogłoszony drukiem a świadkami na nim podpisani byli: Adam Mickiewicz „wódz Ducha“ i Karol Rożycki „wódz Ziemi“.

Po Mickiewiczu drugie miejsce w antypatjach Janowskiego zajmuje Seweryn Goszczyński.

Opisując np. jubileuszową uroczystość obchodzoną we Lwowie 1875 r. powtarza z przekąsem słowa poety, o „zaszczycie, który go spotkał nad jego zasługę“. „Istotnie — dodaje — S. Goszczyński był apostołem Towiańszczyzny na emigracji przez lat 20. W r. 1857 razem z Karolem Różyckim, Ludwikiem Nabielakiem i Władysławem Dzwonkowskim nosił do ambasady w Paryżu memorjał, w którym Towiańszczycy wyrzekli się swojej przeszłości. Jakże tu nie zawołać z Tacytem: Illicita praevalent!

Innych sądów o Mickiewiczu i Goszczyńskim, którym Janowski daje wyraz w swych pamiętnikach, powtarzać nie będziemy. Jako namiętny przeciwnik Towiańszczyzny nie umie on być bezstronnym, ani sprawiedliwym tam, gdzie chodzi o jej wyznawców.

Na zakończenie podajemy kilkanaście aforyzmów z bogatej pod tym względem spuścizny Janowskiego:

Kto się z tem odzywa, że do żadnego stronnictwa nie należy, ten, jeżeli wie, co mówi, albo sam chce stanowić stronnictwo, albo pod pozorem bezstronności, chce się zamknąć w swoim egoizmie i uwolnić od wszelkiego trudu w sprawach życia publicznego. W każdym razie zły to obywatel i przypomina owego filantropa, o którym wyrzekł poeta:

I kiedy widział, że drudzy tonęli,
Mówił, stojąc na brzegu: Pływać nie umieli.

* * *

W czasach, w których żyjemy, nie dosyć być chwalonym przez dobrych i poczciwych ludzi, ale trzeba jeszcze być ganionym i spotwarzanym przez złych, aby zasłużyć na szacunek u oświeceńszej i sprawiedliwszej potomności.

* * *

Dziecko, które się ciągle piastuje, nigdy się chodzić nie nauczy, a człowiek choćby i pełnoletni, nigdy nie przestanie błądzić, jeżeli mu błądzić nie będzie wolno.

* * *

Chcieć, aby myśl ludzka nie postępowała, jestto chcieć aby woda nie popłynęła, lub ogień nie palił.

* * *

Narody podobnie jak pojedynczy ludzie rzadko przychodzą do upamiętania i mądrości na drodze uwag i przedstawień, częściej na drodze gorzkich doświadczeń.

* * *

Żaden rząd na świecie nie lubi słuchać prawdy, wszystkie się mienią ojcowskimi, i w każdym, kto im wyrzuca błędy lub nadużycia, widzą nieprzyjaciela.

* * *

Dopóki światło nauk nie stłumi przesądów i zabobonów, przesądy i zabobony będą tłumiły światło nauk.



CZUWAJ!

OPOWIADANIE MATYLDY SERAO

Z WŁOSKIEGO.

PRZEKŁAD EUGENJI ŻMIJEWSKIEJ.

W ów dzień skwarny cała okolica neapolitańska była pusta, cicha, nieruchoma, jakby spała pod promieniami prażącego słońca.

Od dwunastej do czwartej, podczas długiej *siesty* ani jeden człowiek nie poruszył się w żyznej dolinie Bagnoli; ani jeden pojazd nie zaturkotał na drodze z Pausilippy, umiłowanej przez cudzoziemców, zwiedzających Neapol, niemniej jak przez mieszkańców tego cudnego miasta. Nie widać też było pojazdów na drodze, która idzie od Fuorigrotta i skręca w Bagnoli, aby następnie biedz do Puzzoles, Cumes i Baii. W zatoce nie ujrzałbyś ani jednego parowca, odpływającego w kraje odległe; ani jeden żagiel nie bielił się w kanale Procida, nie było widać ani jednej łodzi w pobliżu szmaragdowej wyspy, rozłożonej w całej swej długości nawprost onego czarownego wybrzeża.

Łazienki kąpielowe na brzegu Bagnoli świeciły pustkami. W oberży, zwykłem miejscu zebrań okolicznych hulaków, pojedynkowiczów i kochanków, wszystkie okna i drzwi były zamknięte, nie słychać było krzyków, ani piosenek.

Wśród tego ogólnego uśpienia ludzi i natury

morze nawet, lśniące w promieniach słońca, leżało nieruchomo, bezwładnie.

Tylko chwilami dmuchał wiatr zachodni, wzniecając kłęby kurzawy na drodze do Pausilippe i do Fuorigrotta, uginając, to znowu prostując maki na zielonych polach, wstrząsając okiennicami białych domów, obrywając z listków powoje i winne latorośle na altankach austeryj.

Ale, jak wiadomo, zachodni wietrzyk kołysze do snu neapolitańską dolinę.

Już dzień był na schyłku i długi mrok letni zaczynał snuć swą szaro-złotą przędzę.

Z łazienki wyszła żona rybaka, smukła, śniada, bosa i zabierała bieliznę, suszącą się na tykach. Głowę jej osłaniał duży kapelusz słomiany, z wygniecionem denkiem.

Zanuciła piosnkę:

E lacce songh' e seta
E buttone songh' e velluto
E o primmo inamurato
M'a lassato e se nn'e ghiuto[1].

Kiedy niekiedy, zbierając bieliznę, spoglądała na willę, jakby spodziewała się ujrzeć tam kogoś.

Jakoż po chwili wyszła ztamtąd gromadka pięknych dzieci angielskich, pod opieką nauczycielki; z tyłu za nimi lokaj niósł bieliznę i prowizję.

Żona rybaka stanęła, rzuciła stos prześcieradeł na ramię i osłoniła oczy dłonią. Ale najmłodsze dzieci już do niej przypadły i witały wesoło, wstrząsając złotemi lokami. Kobieta śmiała się, ukazując duże, zdrowe zęby.

Niebawem zamknęły się trzy kabiny, a po chwili między wybrzeżami Bagnoli, a wyspą Nisida, kilkoro dzieci plusnęło do wody. Śmiały się, obryzgiwały się wzajem, wyciągały rączyny po ciastka, które kąpielowa rzucała im z platformy.

Całe wybrzeże zdawało się cieszyć wraz z tą kobietą i z temi dziećmi.

Niebawem kilka wozów ukazało się na drodze z Fuorigrotta; skręciły ku Puzzoles: jechał naprzód ogrodnik, który sprzedał w Neapolu cały swój zapas pomidorów; dalej kupiec, który pozostawił w mieście wino z Procidy i wiózł już puste beczułki.

Potem zaturkotał wózek pełen syfonów wody mineralnej; woźnica w płóciennych spodniach i rozpiętej koszuli trzymał w rękach krótką piankową fajeczkę i zawodził piosnkę przez zęby.

Na drodze do Pausilippe ukazało się kilka dorożek, pełnych przybyszów z prowincji.

Zwiedzali oni sumiennie okolice, nie dla własnej przyjemności wszelako, lecz pragnąc uchodzić za cudzoziemców.

Dorożkarz wstrzymał swój wehikuł i objaśniał im: że to jest poligon Bagnoli, że codzień rano żołnierze przychodzą tu ćwiczyć się w strzelaniu do celu, a że ta wyspa, tam na prawo, to Nisida.

— Jaka ładna!—wołali przybysze z prowincji, zachwycając się wyspą, która z lubością jakby przeglądała się w morzu połyskliwem.

Stangret wzruszył ramionami, skręcił i powiózł parafiańskie towarzystwo do Fuorigrotta.

Po chwili przyjechał ekwipaż prywatny; siedziała w nim piękna i wytworna dama; wyrzekła się zapewne letniej wycieczki i została w Neapolu przez kaprys lub na przekór ubóstwiającemu ją mężczyźnie. Stangret jechał powoli, ogromna biała parasolka z ponsową obwódką osłaniała zadumaną główkę. I ten powóz stanął także naprzeciw Nisidy, a wracając do miasta piękna dama rozmyślała, co znaczy ten punkt świetlany, który jej piękne oczy dostrzegły na szczycie wyspy, wśród zieleni?

Wszystkie okna oberży były już otwarte — i na morze, i na dolinę, i na drogę do Fuorigrotta; a pod altanką, osłoniętą bluszczem i powojami dwóch chłopaków jeszcze zaspanych, ustawiało stoły proste: nakrywali je obrusami i stawiali na każdym solniczkę i dwie szklanki, przewrócone dnem do góry.

W jednem z okien stała jakaś para, wpatrzona w morze: kobieta była młoda, jasnowłosa i drobna, ubrana skromnie w sukienkę płócienną szafirową; mężczyzna, lat czterdziestu, ciemny brunet, był zamyślony.

Już dwa razy kładła mu rękę na ramieniu i pytała go o coś, ale on odpowiadał z roztargnieniem, jak gdyby myślał o czem innem.

Wreszcie odeszła — na co uwagi nawet nie zwrócił — zachwycała się angielskimi dzieciakami, które pluskały się w wodzie. Zerwała z kwietnika stokrotkę. Ale po chwili, pod wpływem widocznie jakiejś myśli, która jej nie dawała spokoju, kobieta wróciła znowu do okna i znowu o coś pytała pytała towarzysza, wskazując na wyspę Nisidę. On kiwał głową z uśmiechem pobłażliwym — nie chciał widocznie płoszyć urojeń tej młodej główki — bardzo od rzeczywistości dalekich.

Teraz, o zmroku, i morze zdawało się budzić ze swej drzemki południowej. Trzy paranze[2]) wypłynęły z kanału Procida i zdążały ku Puzzoles sznurem, wlokąc za sobą dużą wspólną sieć, zwaną *sciabica*. Wieczorny wietrzyk wzdymał żagle.

Wtem po za plecami praczek, które wracały z Neapolu, niosąc stosy bielizny na głowie, rozległ się miarowy tętent kopyt. Po chwili ukazał się koń, zaprzężony do zamkniętego furgonu. Ten furgon nie był podobny ani do pocztowych, bo miał budkę na przodzie, ani do wozów ambulansowych.

Był cały czarny, zamknięty szczelnie, przy okienku nad drzwiczkami miał druciane żaluzje, przypominał zupełnie wehikuły miejskie, w których podczas epidemji wywożą zmarłych na cmentarz.

---

[1]) Sznureczki jedwabne, aksamitny guzik — opuścił mnie pierwszy kochanek i w świat wyruszył.

[2]) „Paranzami“ nazywają na morzu Tyreńskiem, a także i na Adrjatyckiem duże łodzie rybackie. (Przyp. tłom.)

Poczciwi mieszkańcy Neapolu, ilekroć widzą taki wóz we dnie, lub słyszą jego turkot wśród nocy, zwykli zawsze odmawiać pacierz, a potem odżegnywać złe duchy.

A jednak to nie był także wóz umarłych.

Furgon pędził szybko. W chwili, gdy mijał willę Carrano, stara *miss*, która siedziała przed domem z książką w ręku, czekając na powrót swoich siostrzeńców z kąpieli, poprawiła na nosie okulary, aby módz lepiej się przyjrzeć. C. d. n

CO I JAK CZYTAĆ?

(AUTOREFERAT, UMIESZCZONY W „PRZEGLĄDZIE FILOZOFICZNYM").

Wł. M. Kozłowski. Co i jak czytać? Wykształcenie samego siebie i czytelnictwo metodyczne. Warszawa 1900.

Pobudkę do napisania tej książki stanowił przysłany autorowi do przejrzenia katalog wyborowych książek, mający służyć za przewodnika przy kształceniu się drogą lektury. Od kilkunastu lat układają się u nas liczne katalogi podobne, a w najnowszym czasie ukazał się w druku opracowany przez licznych współpracowników obszerny katalog rozumowany tego rodzaju p. t. „Przewodnik dla samouków".

Otrzymawszy przed kilkunastu laty jeden z podobnych katalogów i zastanawiając się nad środkami postawienia zagadnienia wykształcenia siebie samego na drodze racjonalnej, autor dostrzegł od razu, że katalog w tym wypadku jest rzeczą zupełnie niewystarczającą, chociaż może być bardzo pomocnym przy spełnieniu poprzednim pewnych warunków. Idzie mianowicie o to, aby wytworzyć sobie jasne wyobrażenie o tym, czem jest wykształcenie, jakie jego cele, zadania i środki? Żadanie tym trudniejsze, że ten, który potrzebuje jego rozwiązania, nie w stanie tego uczynić, odpowiedź bowiem na powyższe pytania wymaga już poprzednio nabytego, zaokrąglonego wykształcenia.

Gdyby szło tylko o czytanie polihistoryczne według jakiegokolwiek szablonu encyklopedycznego, katalog z rozmaitych zakresów, uznanych przez opinję potoczną za niezbędne składniki wykształcenia, byłby zupełnie wystarczający. Lecz skoro idzie o wytworzenie syntetycznej całości, o spojenie nabytej wiedzy w jedność poglądu na świat i przekonań życiowych, o wytworzenie słowem jednolitego i według pewnego planu ukształtowanego gmachu wykształcenia, na pierwszym planie stanąć musi propedeutyka tej całości, t. j. metodyczny wykład celów i zadań, wyliczenie składowych części i roli ich w całości, wreszcie technicznie dydaktyczna strona, nie mniej jak i próba syntezy. Katalog więc usuwał się na drugi plan, jako część pomocnicza bardzo ważna, niezbędna nawet, ale dopiero przy pierwszej, przy teorji wykształcenia, mogąca spełnić swoje zadanie. Katalog taki zresztą z natury swojej zmienny jest: co roku ukazujące się nowe lub lepsze dzieła zmuszają do zastąpienia niemi dawniejszych lub słabszych, umieszczonych nieraz jedynie dla braku odpowiedniejszych.

W pytaniu więc: Co czytać? — znaczenia owego co nie należy stosować tylko do pojedynczych tytułów książek zalecanych, lecz głównie do tego jakie gałęzie literatury naukowej i w jakim stosunku, w jakiej roli wchodzą do wykształcenia ogólnego. Również i w zapytaniu: jak czytać? wyraz jak nie stosuje się tylko do zewnętrznej techniki czytelnictwa, lecz przeważnie do tego, w jakim porządku i następstwie wchodzą pojedyńcze gałęzie lektury w zakres wykształcenia ogólnego; czego i jak w każdej z nich szukać należy.

Zadanie w ten sposób rozdzieliło się na dwa: z jednej strony całkowita teorja wykształcenia, odpowiadająca potrzebom bieżącej chwili historycznej: z drugiej strony katalog dzieł polskich, odpowiadających wymaganiom teorji, t. j. praktyka lektury.

W tej teoretycznej części należało przedewszystkiem określić stosunek wykształcenia do szkoły i samouctwa (wstęp), wyjaśnić pojęcie wykształcenia w jego historycznym rozwoju i w współczesnem znaczeniu (R. III, IV), przejrzeć jego źródła (uboczne R. I; książka i próby unormowania czytelnictwa R. II), zatrzymać się nad metodą czytelnictwa (R. V) i naturalnem następstwie zagadnień i przedmiotów, budzących zainteresowanie w stopniowo-rozwijającym się umyśle młodzieńca (R. VI). Następnie poddać wypadało analizie składniki wykształcenia książkowego: literaturę poetycką (R. VII), naukową (R. VIII) i publistyczną (R. IX).

Po skończonej analizie pojęcia i składników wykształcenia można było przystąpić do próby syntezy, której poświęcona jest druga część książki (Synteza lektury i filozofja życia. Owocem wykształcenia jest pewna filozofja życia (R. I.); główne zagadnienia, wchodzące w jej skład stanowią: moralność i szczęście łącznie z oceną wartościową życia (R. II); wytworzenie poglądu na świat (R. III), ideały (R. IV); stosunek jednostki do społeczeństwa (R. V).

Katalogi, jak zaznaczono już, stanowią rzecz zmienną w stosunku do trwałej względnie teorji wykształcenia. Aby im nadać charakter mniej efemeryczny a zarazem dać historyczną podstawę do oceny badania autora, podane są w dodatkach ustępy z katalogów dzieł wyborowych z literatury wszechświatowej, układane przez wybitniejsze umysły dla celów wykształcenia (Aimé Martin, Comte, Lebbock). W samym katologu naukowym

ułożonym przez autora, odznaczone są stopnie trudności i względne znaczenie pojedynczych książek za pomocą systematu znaków. Dzieła o wartości nie prędko przemijającej a podstawowe dla każdego działu, oznaczone są podkreśleniem. Katalog dzieł beletrystycznych polskich, oraz dotyczących historji literatury polskiej ułożył p. P. Chmielowski. Dział historji polskiej ułożył p. T. Korzon.



Z pism i książek.

(Prawo spadkowe Hebrejczyków i Indów. Studjum przez dr. Stanisława Szachowskiego, nadzw. prof. uniwersytetu lwowskiego: Lwów 1900).

Zewnętrznym wyglądem ta książka odstrasza. Mnóstwo cytat, wyrażeń zaczerpniętych wprost z indyjskich ksiąg świętych, całych zwrotów indyjskich lub łacińskich, dodaje jej piętna pewnego chaotyzmu, który wzmaga się jeszcze skutkiem nieprzejrzystego, a co najmniej oryginalnego ugrupowania przedmiotu. Dopiero po głębszem wczytaniu się, natrafić można na ten węzeł prawny, którego częściowe rozwiązanie przynosi autor w niniejszej rozprawie. Chodziło mianowicie o wyjaśnienie i zbadanie związku między postanowieniem rzymskiego prawa „dwunastu tablic", odnośnie do wolności testowania, a prawodawstwem Hebrejczyków i Indów. — Zasada bowiem, że spadkodawca dowolnie swojem mieniem rozporządzać może, wyrażona tam w zdaniu „uti legassit... ita ius esto", w zupełnej czystości nigdy prawie nie weszła w życie (z wyjątkiem Anglji i Ameryki północnej), lecz już w samym Rzymie podcięta była przez prawo do zachowku, czyli dziedziczenie przeciwtestamentowe. — O ile więc powyższa zasada dwunastu tablic wypływa z „prawa natury" lub czegoś pokrewnego, mogłyby wykazać ustawodawstwa wcześniejsze, a więc Hebrejczyków i Indów i do nich się też autor zwrócił, ale doszedł do wręcz przeciwnych rezultatów. — Z przepisów mianowicie, zawartych w księdze Genezis i w Pentateuchu Mojżeszowym, wynika, że ograniczenia woli spadkodawcy u Hebrejczyków istniały, a badanie indyjskich ksiąg świętych, jak „*Rg (Rig) Veda*", „*Sama-Veda*", „*Yadżur-Veda*", *Atharva-Veda* i t. d. tudzież ksiąg prawnych „*Manu*" doprowadziły autora do wniosku że „w Indjach rozporządzenia ostatniej woli nigdy nie wytworzyły się w stałą, specjalną instytucję testamentu. O ile zaś były praktykowane, to miały znaczenie podrzędne, służące głównie do uzupełnienia, do udokumentowania spadkobierstwa z ustawy".

Taka jest w najogólniejszych zarysach prawna treść rozprawy dra Szachowskiego. Po za nią dopiero odkrywa się cała skarbnica szczegółów ciekawych, rzucających światło na zamierzchłą cywilizację prastarych tych ludów i rzeczy z zakresu socjologii. Powód do traktowania tych kwestji dały autorowi instytucje familijne, na których głównie prawo spadkowe się opiera. W księgach badanych znalazł on wiele szczątków pierwotnych, przedhistorycznych stosunków ludzkich, a szczególnie dawnej wspólności kobiet, której pozostałością jest u Indów „Gudhotpanna", czyli prawne stanowisko człowieka, którego ojcem jest ktokolwiek, byleby tylko należał do tego samego szczepu. Istniała bowiem początkowo endogamja, ale taka, że kobiety danego szczepu stanowiły, tak jak nieruchomości, wspólne jego dobro, a potomstwo z nich zrodzone było naturalnie potomstwem szczepu jako takiego. Potem przyszła exogamja, ale przez długi czas jeszcze kobiety, jakkolwiek nie były wspólnem dobrem szczepu mężowskiego, to jednak należały poniekąd do familji męża, więc także do mężczyzn tejże. Śladem tego u Hebryjczyków jest instytucja *lewiratu*, a u Indów „*Kszetradża*". Obie polegały na tem, że młodszy brat zmarłego lub niezdolnego męża miał obowiązek poślubienia lub kohabitacji z braterską wdową albo żoną, dla przysporzenia onemuż, a w dalszem następstwie i familji potomstwa.

Szczegóły te socjologicznej natury przytaczamy tylko przykładowo, a nakoniec trudno się powstrzymać od wzmianki o jednej jeszcze materji, dającej wyobrażenie o wysoce poetycznej fantazji Indów.

Tyczy się ona mianowicie form zawierania małżeństwa, których to form nazwy tworzą idealnie piękne metafory poetyckie. Form takich liczy dr. Szachowski ogółem ośm, a między innemi znajdujemy: „*Daiwa*" (małżeństwo bogów), gdy ojciec po złożeniu ofiary bogom, wydaje strojnie przybraną córkę narzeczonemu kapłanowi, „*Arsza*" (małżeństwo świętych), gdy narzeczony przywodzi w darze parę bydląt za dopełnienie ceremonji religijnej, lub z afektu dla narzeczonej, „*Pradżabatja*" (małżeństwo śmiertelnych), gdy narzeczona zostaje oddana swemu narzeczonemu z wypowiedzeniem formuły: „dopełniajcie swych powinności wzajemnie". „*Assura*" (małżeństwo złych geniuszów), gdy narzeczony w zamian za narzeczoną czyni bądź jej ojcu, bądź jej samej jaki dar, „*Gandharva*" (małżeństwo niebieskich muzyków), gdy się narzeczeni pobierają z czystej ku sobie miłości, „*Rakszasa*" (małżeństwo olbrzymów), gdy się dokonywa przez porwanie kobiety, „*Paisaca*" (małżeństwo upiorów), gdy się zdobywa kobietę uśpioną, upojoną lub w ogóle nieprzytomną.

Fr. Jaw.

Minna powieść Karola Giellerup'a, z duńskiego przetłumaczyła *Wanda Dalecka*. Lwów, nakładem księgarni H. Altenberga. 1900. Powieść ta, która dopiero co okazała się na półkach księgarskich, przyswaja literaturze naszej doskonałe dzieło nieznanego u nas duńskiego autora. Tłumaczce położyć należy za zasługę, że tłumaczenie to dokonane jest pięknym językiem.



Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.